

Europa i tak nie ucieknie od tradycji

Europa potrzebuje swojej tradycji, bo wisi na niej jak na kołku. Bez niej to wszystko się oberwie... Przecież nawet niedawny ślub księżęcy w Anglii, który był wielką imprezą popkulturową, w końcu i tak był przecież chrześcijańskim ślubem, przed chrześcijańskim ołtarzem w kaplicy św. Jerzego w Windsorze – mówi prof. Dariusz Gawin w rozmowie z Michałem Płocińskim z „Plus Minus”.

Michał Płociński (Plus Minus): 50 lat temu nabierały tempa wydarzenia francuskiego Maja '68. Studenckie protesty z paryskiej Sorbony rozlały się po całym kraju, robotnicy rozpoczęli strajk powszechny, a 24 maja prezydent Charles de Gaulle poszedł na pierwsze, niewielkie ustępstwa. Ale strajkujący chcieli obalić „kapitalizm i imperializm” – jak głosiły transparenty. Była to więc rewolucja nieudana czy jednak rewolucja, która wciąż trwa?

Dariusz Gawin: To na tyle skomplikowana historia, że równie dobrze można powiedzieć, że rewolucja ta się nie udała, jak i że się bardzo udała. W 1968 r. po raz ostatni w historii intelektualnej Zachodu słowo „rewolucja” było używane w podstawowym swoim znaczeniu, jak w XIX w., jako gwałtowny przewrót, po którym ma zostać wyłoniony nowy porządek we wszystkich wymiarach życia społecznego. W tym sensie rewolucja się nie powiodła: nie osiągnęła swoich politycznych celów.

Zmianie uległ rząd, a później kryzys polityczny zmusił do odejścia także de Gaulle'a, ale bardzo radykalne hasła obalenia kapitalizmu i demokracji przedstawicielsko-burżuazyjnej nie zostały zrealizowane.

A w jakim sensie ta rewolucja się udała?

Zapoczątkowała łańcuch zmian kulturowych i społecznych. To, co zaczęło się w 1968 r., przemieniło, wręcz przeorało wszystkie społeczeństwa zachodnie. Kultura masowa, popkultura, ale w ogóle cała historia Zachodu przez te pół wieku bardzo się zmieniły, właśnie pod wpływem wydarzeń z przełomu lat 60. i 70. XX w. Rewolta młodzieżowa rozlała się na cały Zachód: na Niemcy, Włochy, Anglię i przede wszystkim Stany Zjednoczone, gdzie bardzo mocno odcisnęła swoje piętno na amerykańskiej kulturze i polityce.

Nigdzie jednak rewolucja nie osiąga swoich celów.

Ale stworzyła nową postać zachodniej kultury. Pod koniec lat 60. pisarz i historyk Theodore Roszak wydał książkę o kontrykulturze („The Making of a Counter Culture”). Spopularyzowany przez niego termin był utopijny. Roszak postawił tezę, że kontrykultura zastąpi całą burżuazyjną, kapitalistyczną kulturę. A kontrykultura rodzi Woodstock, kolejne protesty studenckie, Czarne Pantery, ale też wielkie zamieszki, na przykład w Chicago w czasie konwencji Partii Demokratycznej. Tylko że przemoc ta nie odniosła większych skutków i polityczna fala rewolucji wypalała się jakoś w latach 70.

Wypala się – to dużo powiedziane, bo przecież spontaniczny bunt przeradza się w zorganizowaną, polityczną przemoc: we Francji powstaje organizacja terrorystyczna Action Directe, w Niemczech Zachodnich – Frakcja Czerwonej Armii, a także Czerwone Brygady we Włoszech.

Ta wielka fala miała też swoich radykałów. Pierwsza faza rewolty, jak zwykle, była bardzo romantyczna: wielkie uniesienie, olbrzymie nadzieje, masowe ruchy, protesty, setki tysięcy ludzi w Woodstock. A potem to wszystko opada. Na szczęście tym razem nie pojawili się żadni bolszewicy, którzy dzięki rewolucji przejęliby władzę. Radykałowie byli tym bardzo rozczarowani, bo nie udało się obalić kapitalizmu i władzy burżuazji, więc w końcu zdecydowali się pójść w terroryzm.

Zresztą cała ta rewolta od początku była podsycana przemocą, o czym dziś często się nie pamięta. W równym stopniu, co Frakcja Czerwonej Armii czy Czerwone Brygady, z ducha kontrkulturowej rewolty wyrósł też Charles Manson i jego sekta, która odpowiada za straszne zbrodnie w USA. Manson był muzykiem, nosił długie włosy, a jego sekta, którą nazywał rodziną, przypominała hipisowską komunę. Czyli poza rzeczami romantycznymi i idealistycznymi, które zapisały się w pamięci Zachodu, działy się też rzeczy przerażające, o których wzmianki są już tylko w książkach historycznych. Ta rewolucja ma piękną legendę dzieci kwiatów, świetnej muzyki, swobodnej mody, ale pod spodem był dość agresywny radykalizm.

Powstaje pytanie, czy to był na pewno radykalizm lewicowy, bo np. robotnicy strajkujący we Francji, wbrew utartym opiniom, wcale nie odnosili się z sympatią do studentów i ich radykalnych poglądów. Robotnicy walczyli o prawa pracownicze i tradycyjne lewicowe ideały, a studenci?

Można powiedzieć, że ta rewolucja nie tyle była lewicowa, co raczej lewacka. Jednym z jej podstawowych skutków były przecież narodziny nowej lewicy. To były początki radykalnego feminizmu, ekologizmu i radykalnych ruchów obrony praw mniejszości seksualnych. Odrzucono dawną wizję, w której to klasa robotnicza jest istotą rewolucji, a postawiono na młódzież i seksualność jako narzędzie buntu wobec do dawnego społeczeństwa. W największym skrócie, o ile miejscem wyzwisku w tradycyjnej myśli lewicowej była fabryka, to teraz tym miejscem stała się rodzina, a później ciało czy kulturowe wyobrażenia na jego temat. Emancypacja jednostki poszła w stronę walki z prześladowaniem przez patriarchalne społeczeństwo albo po prostu autorytarnego ojca. A dalej nowa lewica uznała, że więzi nas też samo ciało, sposób jego postrzegania narzucany przez dominującą kulturę, stąd walka o prawa osób transseksualnych to kolejna faza emancypacji.

I to wszystko zaczęło się już w latach 60.?

Tam są korzenie tych zmian: zastępowania starej lewicy, która mówiła o przejmowaniu środków produkcji, klasie robotniczej itd. – nową lewicą, która przesuwała podstawową walkę o panowanie nad rzeczywistością społeczną w sferę kultury. Był to na przykład program Rudiego Dutschke, niemieckiego lewackiego radykała, który taką

przemianę kultury nazywał „długim marszem przez instytucje”. I w tym sensie, wracając do pytania wyjściowego, to pokazuje skalę zwycięstwa tej rewolty. Ona politycznie przegrała, ale trwale zmieniła kulturę, demokrację, a także kapitalizm. Bo to już inny kapitalizm, odkąd oswoił kontrkulturę.

„Bądź sobą, wybierz Pepsi”?

Dokładnie o to chodzi: samorealizacja i indywidualizm, jedne z głównych tematów kontrkultury, zyskały komercyjne opakowanie. Produkty przestały być po prostu użyteczne – zyskały „osobowość”. Kontrkultura wypracowała pewien język komunikacji społecznej, który później wchłonął kapitalizm, a kampanie reklamowe przetworzyły go na własny użytek. Steve Jobs sprzedający iPhone'y w golfie czy Mark Zuckerberg chodzący w T-shircie to już inny styl kapitalizmu. Tylko że tak naprawdę to wciąż ten sam drapieżny turbokapitalizm, ale jakby udający kontrkulturę. To kapitalizm, który sprzedaje nam dzisiaj możliwość samorealizacji, rozwijania swojej osobowości, budowania wspólnoty i wolnej seksualności. Z nadzieją, że w ten sposób można więcej zarobić.

Rewolucjoniści przejęli kulturę, ale politycznie w krajach Zachodu właściwie dalej rządzą, jakkolwiek by ich nazywać: konserwatyści, neokonserwatyści czy neoliberalowie; w każdym razie – politycy centroprawicowi.

Neokonserwatyści i neoliberalowie też są produktem Maja '68. Prawica czasów Ronalda Reagana i Margaret Thatcher w znacznym stopniu była właśnie odpowiedzią na dominację kulturową nowej lewicy. A neokonserwatyści w USA sami zresztą częściowo się z niej wywodzą. I te dwa ruchy latami kształtowały świat, który zaczął się sypać dopiero w 2008 r. W tym świecie sferą gospodarki i finansów rządził neoliberalizm, a sferą ideologii i kulturowego wymiaru polityki władała nowa lewica i lewicujący liberałowie. I ten sojusz ukształtował też współczesną postać Unii Europejskiej, która z jednej strony była kapitalistyczna i neoliberalna, a z drugiej, w warstwie ideologicznej – lewicowo-liberalna. Zresztą taka jest do dzisiaj, co jest przyczyną jej obecnych kłopotów. Choć wcześniej ten układ, w którym kultura była kształtowana poprzez dziedzictwo kontrkultury, a gospodarka przez neoliberalizm, był niebywale trwałym sojuszem i godził pozorne sprzeczności. Najlepszym jego symbolem była tzw. trzecia droga z lat 90., czyli polityka Tony'ego Blaira w Wielkiej Brytanii czy Gerharda Schrödera w Niemczech. To byli przecież socjaldemokraci, ale prowadzący politykę deregulacji gospodarki. Jednocześnie przykrywali ją lewicowo-liberalną retoryką. Ale to się załamało.

Tylko co właściwie zmieniło się wraz z kryzysem finansowym w 2008 r.? Zaburzyła się równowaga między tymi dwiema siłami; kryzys osłabił neoliberalizm i układ runął?

Raczej cała seria kryzysów – finansowy, uchodźczy, później brexit – pokazała, że establishment, który ideologicznie posługuje się językiem lewicowo-liberalnym, a interesy ekonomiczne realizuje poprzez narzędzia i polityki neoliberalne, stracił zdolność panowania nad rzeczywistością. Najpierw neoliberalizm nie potrafił poradzić sobie z

ekonomicznymi problemami Grecji i kryzysem finansowym, a później ideologia multikulturalizmu, czy – jak to się mówi poprawnie politycznie – różnorodności zaczęła rodzić poważne problemy polityczne w obliczu masowej imigracji do Europy. Właśnie te nagle i dobitnie ujawnione słabości establishmentu były przyczyną powstania różnych radykalnych ruchów i zdarzeń kwestionujących status quo, jak Alternatywa dla Niemiec, brexit czy zwycięstwo Ligi Północnej i Ruchu Pięciu Gwiazd we Włoszech.

Te partie różni jednak wiele.

Ale łączą je dwa wspólne odruchy: kontestowanie neoliberalizmu jako polityki gospodarczej oraz hegemonistycznej pozycji ideologii lewicowo-liberalnej. Nakłada ona na rzeczywistość neoliberalną poprawnie polityczny obraz społeczeństw wielokulturowych, zróżnicowanych pod wieloma względami. Dąży tym samym do osłabienia dawnych wspólnot, a płaszczyzną, która ma jednoczyć społeczeństwo, ma być proceduralna demokracja, czyli system oparty na prawie rozumianym jako pewien zestaw reguł neutralnych wobec tradycyjnych tożsamości. W takim społeczeństwie właściwie nic nie musi ludzi łączyć na poziomie wspólnoty politycznej – poza zgodą na reguły formalne, wszyscy mogą należeć do rozmaitych, odrębnie definiowanych grup: etnicznych, religijnych, seksualnych. Ale w praktyce kończy się to tzw. fragmentacją społeczną: ludzie zamykają się we własnych gettach.

A kontestowanie „hegemonistycznej pozycji ideologii lewicowo-liberalnej” w praktyce kończy się postawami antyimigranckimi.

Oczywiście są takie nurty, ale te postawy nie polegają wyłącznie na uprzedzeniach rasowych czy etnicznych. Kto je redukuje do rasizmu, popełnia błąd. To raczej przeniesienie w wymiar polityczny sporu, który toczył się na przełomie lat 80. i 90. XX w. pomiędzy liberałami a komunitarianami. Wtedy prowadzono akademickie dyskusje, a dziś to są realne problemy polityczne.

Thatcher mówiła, że „coś takiego jak społeczeństwo nie istnieje, istnieją konkretni mężczyźni i kobiety”, a komunitarianie podkreślali wagę wspólnot w życiu człowieka. Dzieliło ich więc pytanie: czym jest wspólnota?

I czy wspólnota polityczna powinna mieć instrumenty prawne i polityczne do ochrony własnej spójności i tożsamości. Kryzys uchodźczy rozpoczął fazę zawirowań politycznych, które zapewne będą trwały dosyć długo, bo na razie ci, którzy atakują status quo, nie potrafią zaproponować w zamian niczego trwałego. Ale wcześniej czy później ustali się jakiś nowy porządek, który nie będzie prostym powrotem do okresu wcześniejszego.

Czy te zawirowania sprawiają, że dziedzictwo Maja '68 zaczyna tracić na znaczeniu?

Kulturowo nie, bo ta zmiana już się dokonała. Spójrzmy na zdjęcia czy filmy z lat 50. czy 60., na których mężczyźni, także w Polsce, niezależnie od tego, jaka jest pogoda – może nawet być skwar – chodzą obowiązkowo pod krawatem. A dziś? Mężczyźni chodzą w T-shirtach, w

sportowym obuwiu, noszą dłuższe włosy itd. Dlaczego? Bo właśnie w okolicach lat 60. zaczęto łamać dawne kody kultury mieszczańskiej. I teraz nawet konserwatyści przejęli nowe zwyczaje – nikt nie chce już się bawić w dosłowne powtarzanie dawnych form. W tym sensie żyjemy już w nowej rzeczywistości i ta rewolucja się po prostu dokonała.

Zresztą sam jestem w kwestii tych przemian kulturowych rozdarty: urodziłem się w latach 60., wychowywałem w 70. – słuchałem progresywnego rocka, np. King Crimson, i uczyłem się grać na gitarze, próbując zagrać coś, co przypomina Jimmy'ego Hendrixa. Dla mnie cały ten kontekst kultury był od zawsze naturalny. I nie widziałem w ówczesnej modzie i muzyce żadnego drugiego dna. Na przykład fascynowałem się tekstami Led Zeppelin i innych zespołów, nie rozumiejąc, jakie idee za nimi stoją. Dopiero później zrozumiałem, że niektóre te teksty są dosyć wątpliwe, wchodzą w jakąś dziwną, utopijną gnozę, bo przecież ówczesna kultura miała w sobie strasznie dużo naiwnego gnostycyzmu.

Co to znaczy?

To była przedziwna mieszanka przeróżnych niechrześcijańskich religii, np. wierzeń dalekowschodnich czy jakiegoś dziwnego szamanizmu, ale także narkotyków i poppsychologii, czyli tego wszystkiego, co powoduje, że mamy pozytywny stosunek do rzeczywistości. Np. amerykański antropolog Carlos Castaneda opisywał korzyści płynące z tolteckich wierzeń, odurzania się pejotlem... Było w tym charakterystyczne dla epoki pomieszanie antropologii, narkotyków i wiary w tajemną wiedzę przewodników duchowych z innych kultur. Przedziwny splot literatury, naiwności i zwykłej szarlatanerii.

Dziś społeczeństwa Zachodu ponownie poszukują swojej tożsamości. Wielu, szczególnie na prawicy, liczy na to, że obecny kryzys popchnie nas znowu ku chrześcijańskim korzeniom. Bawaria wprowadziła już z powrotem krzyże do urzędów publicznych, a prezydent Francji, liberał Emmanuel Macron ku zaskoczeniu wielu mocno odwołał się do katolickich korzeni kraju po jednym z zamachów dokonanych przez muzułmanów.

Zwrot ku chrześcijaństwu nie może udać się jednak jako prosty powrót do dawnej tradycji, bo taki nie jest możliwy. Tradycja, by była żywa, musi być cały czas opowiadana na nowo – musi być tradycją żywych. Niemiecki filozof Hans-Georg Gadamer w pracy „Prawda i metoda” pisał, że ludzie, by przekazać tradycję w przyszłość, muszą sami się rozpoznać w jej przekazie. Ten proces nie może być czymś mechanicznym. Zawsze potrzebny jest twórczy wysiłek, który przeszłość połączy z teraźniejszością. Do tego nie można takiej tradycji zaplanować, skonstruować. T.S. Eliot użył w tym kontekście metafory drzewa, które można posadzić, można o nie dbać, a i tak nie wiadomo, czy wyrośnie. Ale nie zmienia to tego, że Europa potrzebuje swojej tradycji, bo wisi na niej jak na kołku. Bez niej to wszystko się oberwie... Przecież nawet niedawny ślub księżęcy w Anglii, który był wielką imprezą popkulturową, w końcu i tak był przecież chrześcijańskim ślubem, przed chrześcijańskim ołtarzem w kaplicy św. Jerzego w Windsorze.

Ale jednak...

...wiem, że można tu zrobić wiele zastrzeżeń, że księżna przecież jest rozwódką, a chór śpiewał „Stand by me”, popkulturowy przebój, ale i tak najważniejszy w tym wszystkim był chrześcijański obrządek małżeństwa sakramentalnego. Mimo wszystko nawet w tej popkulturowej rzeczywistości przebiło się to, czym jest brytyjskość, europejskość, czyli tradycja w najgłębszym tego słowa znaczeniu.

Rozmawiał Michał Płociński

Wywiad ukazał się w „Plusie Minusie” nr 20/2018. Publikujemy go za uprzejmą zgodą redakcji.